

# JACK KETCHUM

Ketchum stał się bohaterem  
wszystkich tworzących opowieści  
pełne grozy i suspense. On po  
prostu jest jednym z najlepszych  
w tym biznesie.

- Stephen King

## KRÓLESTWO SPOKOJU

Replika

**Jack Ketchum**  
**KRÓLESTWO SPOKOJU**

przeł. Piotr Pocztarek

[FRAGMENT]

*OJCIEC I SYN*

Staruszek poczuł na swoim przedramieniu chłodny powiew, jakby podmuch powierza wywołany maleńkimi skrzydłami, i poruszył się na łóżku. Prawie się wybudził w tę ciepłą, letnią noc, ale nie całkiem. Gin znów wziął górę i zmorzył go sen.

Za drugim razem poczuł to na policzku i teraz – spłoszony – obudził się w pełni, świadom, że coś jest nie tak. W jakiś sposób ptak albo nietoperz dostał się do sypialni, a jego serce łomotało, chociaż nie powinno, nie po dwóch bajpasach. Ostatni wszczepiono mu dwa tygodnie temu.

Sięgnął ponad poźółką pościelą w stronę nocnej lampki i zaczął gmerać w poszukiwaniu włącznika. Zapalił światło. Jego oczy nadal były w porządku, chociaż reszta ciała już niekoniecznie. Rozejrzył się, ale nie było ani ptaka, ani nietoperza. Nie wiedział jak jest z ptakami, ale nietoperze w jasnym świetle kryją się przy gruncie. Znajdują zacienione miejsce i czekają, na przykład pod łóżkiem albo w ciemnym rogu. Wstał z lekkim zawrotem głowy, ale z lżejszym sercem. Sprawdził za stolikiem. Powoli i ostrożnie schylił się, by zajrzeć za kredens i na tyle, na ile pozwalały mu schorowane nogi, zerknął pod łóżko.

Nic. Drzwi do sypialni były zamknięte. Okna także. Słyszał, że nawet ciepła bryza może zabić człowieka w jego wieku, jeśli jest na nią narażony wystarczająco długo, więc wszystko było pozamykane na stałe. To znaczyło, że nic nie mogło wejść do pokoju ani się z niego wydostać.

Nic tu nie ma, do cholery – pomyślał. Przecież czułem.

Wiem to, u diabła, bardzo dobrze.

A teraz musiał się odlać.

Stary kutas i tak by mnie obudził, prędzej czy później.

Otworzył drzwi i poczłapał przez korytarz, mijając pokój swojego syna, Joey'a. Zajrzył do niego. Joey'a nie było. Łóżko jak zawsze nieposłane. Pewnie znów usnął przed telewizorem, pomyślał, ale zdał sobie sprawę, że nie słyszy mętnego, stłumionego śmiechu z jakiegoś głupiego sitcomu, minął więc łazienkę i poszedł do salonu. Był tam, na wyściełanym krześle. Chrapał, z łoskotem, głośniejszym od śmiechu. Między jego nogami

stała butelka taniego burbona, co wyglądało jakby ją brandzlował i zasnął w połowie.

Staruszek pamiętał prawdziwe erekcje.

Pamiętał nawet czas, kiedy jeszcze żaden z nich nie był pijakiem.

Minęło już ponad piętnaście lat, odkąd pewnego jasnego, zimowego poranka jego żona Ella i Susan, małżonka Joey'a, pojechały do sklepu spożywczego, a potem wyleciały razem przez przednią szybę jego pickupa. W przypadku Susan, tylko do połowy. Miał wtedy siedemdziesiąt lat i powiedział, że do diabła z tym. Joey miał tylko pięćdziesiąt dwa i ważył osiemdziesiąt kilogramów.

Przystojny facet. Joey też powiedział, do diabła z tym.

Pęcherz nie dawał mu spokoju.

Zawrócił i wszedłszy do łazienki, przekręcił klucz w zamku, ponieważ Joey czasem miał w zwyczaju wchodzić bez pukania. Obaj tak mieli. Posadził swoje zmęczone kości na toalecie. Po takim ciśnieniu, jakie odczuwał, mógł sądzić, że wyrzuci z siebie istną powódź, ale tak nie było. Zajęło to całą, bolesną minutę, a kiedy już zaczęło lecieć, odebrało mu dech, takie to właśnie było przyjemne odczucie.

Omiótł wrokiem łazienkę. Była brudna i desperacko wymagała czyszczenia. Coś wyrosło na zasłonie prysznic i wydawało się, że rozprzestrzenia się też na wannę. Kępki włosów walały się po kafelkach. Były to głównie kłaki Joey'a, ponieważ jego własne już dawno wypadły. Nawet mydło wyglądało obrzydliwie. Pomyślał, że powinni kogoś zatrudnić. Sam jest za słaby, żeby sprzątać. Joey natomiast zbyt leniwy.

Pomyślał o tych skrzydłach. O bryzie na policzku.

Cholernie dziwna rzecz.

Prawie skończył, kiedy usłyszał trzask, szkło uderzające o podłogę, dźwięk łamania twardego drewna, a potem głuchy odgłos.

To mógł być tylko Joey. Nagle jego serce znów zaczęło walić.

– Joey! Nic ci nie jest, synu?

Kiedyś jego głos był donośny. Teraz tylko flegma i chrząst.

Wstał z kibla, podpierając się o umywalkę, po czym podszedł do drzwi i otworzył zamek.

Popchnął je.

Drzwi przesunęły się o centymetr.

– Joey?

Przez szparę widział go, leżącego do góry brzuchem na podłodze.

Dolna część drzwi wciskała się w to, co było klatką piersiową Joeya. Popchnął je ponownie, ale rezultat był ten sam. Spróbował jeszcze raz, pchając ramieniem i zapierając się stopami o poplamioną podstawę toalety. Pchał z całą siłą swojego

czterdziestokilogramowego ciała, dopóki nie mógł już dłużej.

Nie dało się.

Przeklął głupiego skurwysyna, który zamontował drzwi do łazienki w taki sposób, by otwierały się na zewnątrz, a nie do środka. Rozejrzył się za czymś, co mógłby wepchnąć przez szparę w drzwiach. Może uda się jakoś je podważyć. Pod umywalką nie było przepychacza, Joey znów zostawił go w cholernej kuchni.

Kłapa toalety była grubsza niż szpara, zresztą i tak nie miał śrubokrętu by ją odkręcić.

Nie było sensu wołać o pomoc. Łazienka znajdowała się od strony zarośniętego podwórza. Jego podjazd był daleko od podjazdu Mackenziech, najbliższych sąsiadów, więc nigdy tędy nie przechodzili. Nigdy nie zbliżali się do jego domu. Wątpliwe zresztą, czy by mu pomogli, nawet jeśli by go usłyszeli, szkockie psubraty.

Przez to małe okienko też nie przejdzie.

Nie mógł liczyć na to, że ktoś przybędzie mu na ratunek.

Dostawca alkoholu był wczoraj, wody sodowej, podłego żarcia i obiadków – dzisiaj, i nikt inny nie przybędzie, aż do następnego tygodnia. Wszyscy jego przyjaciele nie żyją, a Joey z nikim się nie zadawał odkąd zginęła Susan. Warsztat został zamknięty, a on zaczął nałogowo pić.

Wyglądało na to, że będzie musiał tu zostać przez chwilę. Dopóki Joey nie wstanie.

Nagle naszła go koszmarna myśl. Tak straszna, że aż musiał usiąść na toalecie. Myśl tak perfekcyjnie uformowana i okropna, że zakręciło mu się w głowie.

Joey miał potrójne bajpasy już od ponad roku. Lekarze powiedzieli to samo, co jemu.

Rzuć picie.

Nie rzucili. Żaden z nich.

Zatem możliwe, że Joey nigdy nie wstanie. Że przepadł na dobre.

To łazienka, więc woda nie była problemem. Za to wódka już tak. Kiedy drgawki zaczęły nim miotać, pił wodę po goleniu, a potem pociągał z butelki wody kolońskiej Joey'a. To na jakiś czas je powstrzymywało, jednak potem wracały, a wraz z nimi niepohamowane pragnienie. Nie mógł zrobić wiele, jedynie kłąć, wrzeszczeć, tarzać się po podłodze, obejmując kolana i miotać się w spazmach, Bóg jeden wie, jak długo. Do czasu, kiedy to się skończyło, zsiakał się i zesrał w piżamę i dorobił się siniaków od uderzeń w kibel, wannę czy rury.

To łazienka, więc woda nie była problemem. Za to jedzenie już tak. Stracił poczucie czasu, ale zgadywał, że minęło przynajmniej kilka dni. Dopadł go głód, miał wrażenie, że ma w żołądku rozrywającego go wściekłego psa i pomimo smrodu Joey'a, który dochodził z korytarza, musiał coś zjeść. Zjadł pół tubki pasty do zębów, a potem resztę, popijając

wodą. Próbował kostki mydła, ale od razu ją zwrócił. Porwał na kawałki papier toaletowy, a potem go połknął. Cokolwiek, byle tylko wypełnić żołądek.

Butelka aspiryny wyglądała kusząco, ale wiedział, że to go zabije, więc splukał proszki w toalecie, na wypadek, gdyby zjedzenie ich stało się nieuniknione.

Był tak słaby, że ledwo siedział prosto. Ledwo mógł podrzeć papier toaletowy, przeżuwać i połykać.

Nie potrafił się skupić, miał wrażenie, że nawet oczy go zawodzą.

Spał i nie spał, a jedno zlewało się z drugim. Nie mógł robić nic innego, tylko siedzieć, leżeć i myśleć o przeszłości, o Elli i o miejscu, które mieli, tam nad rzeką. I o zmarłym bracie, Henrym, o zmarłej siostrze, Laurie i o rodzicach, od dawna nieżyjących. Ale najwięcej myślał o jednej rzeczy – o tym, że zabił go jego własny syn, a kiedy przychodziło mu to do głowy, zaczynał płakać skąpymi, nieszczęśliwymi łzami starego człowieka, który zdał sobie sprawę, że może by potrafił mu pomóc, gdyby sam nie był tak pijany, ohydna parodia ojca. A potem pomyślał o skrzydłach.

Poczuł skrzydła.

Właściwie to czuł je teraz, drobne muśnięcie powietrza na jego policzku. Tak jak wtedy.

I tak jak wtedy, znów go to obudziło. Spał. Był zaskoczony.

Usłyszał głos na zewnątrz. Jacyś ludzie wchodzili do środka, już weszli do cholernego domu i przemieszczali się wzdłuż korytarza w kierunku napuchniętego, pokrytego muchami ciała Joey'a na podłodze. Staruszek spróbował się podnieść, by powiedzieć im, że jeszcze on tu jest, do cholery, że jeszcze żyje, ale skrzydła nagle zamarły. Jego serce również.

Podziękowania dla Dale'a Meyersa Coopera.